

gazet owila

Nr 2(10)/2012

m
a

s
k
a

Spis treści:

	004	Wstęp J.W.
	005	W skrzynce
	006	Drogowskazy
Pracownik + 50 - atrakcyjny inaczej?		
	013	Zagadka
014		Bajka dla dorosłych
Dermabrazja kordunowa		
022		Wydarzenie
Trójwymiarowa maskarada		
024		Na papierze
Maska Ewy		
029		Kasia Drzazgowska
W teatrze życia		
032		Kasia Bartsch-Cielebon
Wiedzma powieść w odcinkach cz. IV		
041		Józef Szczepkowski
Początek		
042		Karolina Dyja
Kochani Ludożercy		
044		Szort Mat
Długie ucho		
046		Bajki Nowe
Człowiek		

Wstęp

Maska, karnawał i bal! Niech żyje maskarada, wywodząca się z włoskich zabaw przebierańców znanych już w średniowieczu, a spopularyzowanych przez florenckie triumfy i karnawał wenecki. Bawmy się więc, póki czas!

Maska przywodzi jednak na myśl tradycję, zapewne tak starą jak świat, bo znaną we wszystkich kulturach i regionach, tradycję przykrywania twarzy w celu przedstawienia kogoś lub przekazania jakiejś idei. Znamy ją zwłaszcza z teatru, gdzie aktorzy odgrywając na scenie różne role, mówią do nas gestem i słowem. Sztuka wywodzi się zapewne od Dionizosa, jednak według Arystotelesa człowiek poznaje przez naśladowanie. Zatem postawmy pytanie: czy maska zeszła ze

sceny i weszła w nasze życie? To, że wszyscy odgrywamy określone role w życiu – matki, ojca, dzieci czy szefów i podwładnych w pracy zawodowej, to zwykła rzeczywistość. Właśnie, człowiek rzadko mówi we własnym imieniu, najczęściej z pozycji roli jaką odgrywa na scenie życia. Zatem maska to nasze medium do kontaktu ze światem zewnętrznym.

Dzisiaj w Polsce karierę robi charakterystyczna maska z filmu *V jak Vendetta*, stając się symbolem walki młodych o wolny dostęp do Internetu, a zwłaszcza o podmiotowe traktowanie ich przez władze. Polityki nie lubimy, choć to też zwykła maskarada. **J.W.**

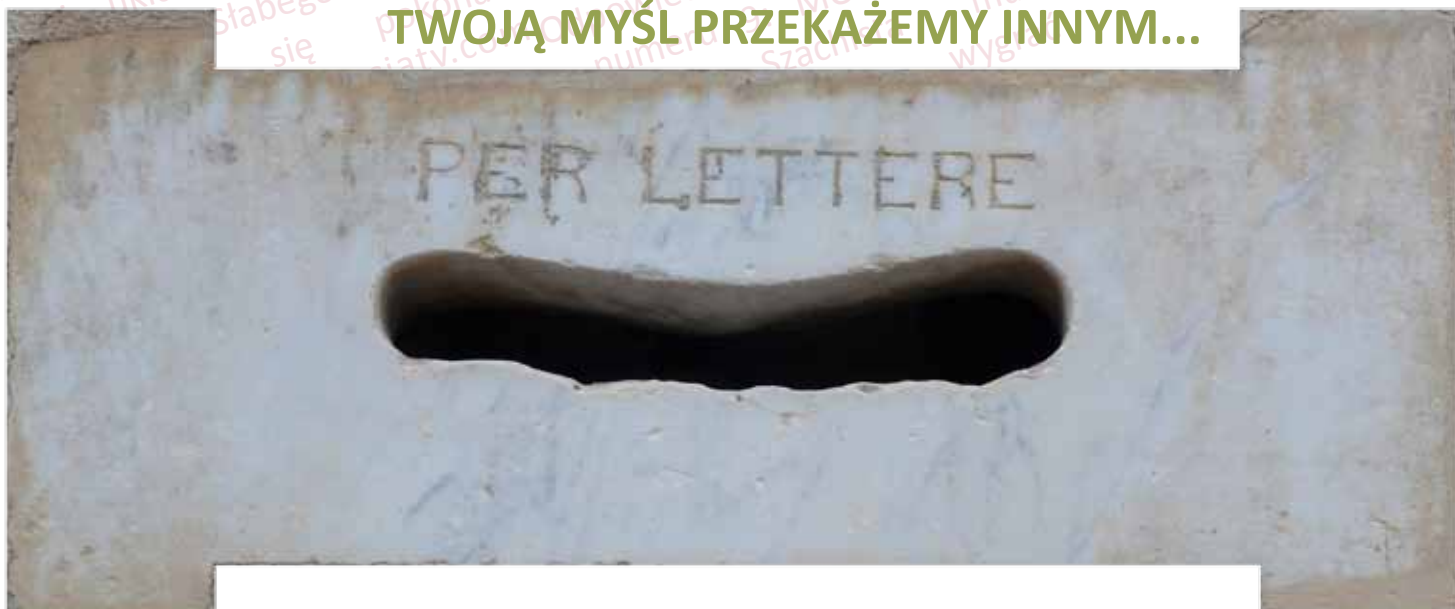


Pozór

Monika Bładowska lat 13

Ludzie na twarze maski zakładają,
By ukryć fałszywe oblicze.
Wtedy charakter inny już mają.
Czy ktoś ich przejrzy? Na to nie liczę.
Wnętrze przepełnione wszelką złością,
Po twarzy nie widać cienia goryczy,
A oczy niby promieniują radością,
Lecz serce w środku złowrogo krzyczy.
Na pozór dobrzy, mili, kochani.
Niejeden szacunkiem, zaufaniem ich darzy.
Dobrzy przyjaciele, innym oddani,
Dopóki nie ujawnią prawdziwej twarzy.
Przyjdzie dzień, gdy maska spadnie,
I na nic będzie dalsze ukrywanie.
Poczują się jakby byli na dnie,
I tak się skończy ciągle kłamanie.

TWOJĄ MYŚL PRZEKAŻEMY INNYM...





Pracownik 50+ - atrakcyjny inaczej?

Rozmowa z Hanną Wieloch, terapeutką, doradcą zawodowym, trenerką rozwoju osobistego z ponad dwudziestoletnim stażem, o perspektywach zawodowych dla starszych pracowników.

Pracownik w wieku 50+ to cenny pracownik?

Uważam, że bardzo cenny. Sama jestem w wieku 50+ i bardzo popieram tę grupę. Przemawia za nami nasze doświadczenie, a przede wszystkim umiejętności miękkie, jak na przykład praca w zespole. Często pada argument, że ludzie starsi nie znają programów komputerowych, a tymczasem często okazuje się, że to wcale nie jest najważniejsze, bo ta wiedza i umiejętności, które mają te osoby mogą być wykorzystane z pożytkiem dla firmy nawet bez perfekcyjnej znajomości komputera. Ta krytyka z jednej strony pokazuje, że patrzymy przez pryzmat nowinek technicznych i kultu młodości, bo przystawiamy do starszych osób te umiejętności, które są atutem młodych i uważamy, że to jest jedynie pożądane. A to nieprawda i stereotyp. Zwraca się uwagę na brak znajomości języków obcych i komputera, a w ogóle nie dostrzega się wartości, które niosą starsze osoby. Co oczywiście nie oznacza, że starsi pracownicy nie powinni podnosić kwalifikacji w tym zakresie.

Jakie to są wartości? W czym osoba 50+ może być atrakcyjna dla pracodawcy?

Taka osoba ma umiejętności, które ogólnie mają ludzie dojrzały nawet poza pracą. Są to meta-umiejętności: nie jestem w punkcie życia, kiedy muszę udowadniać,

że jestem najlepszy, gdyż mam widzenie całościowe i z dystansu; bo ja już kiedyś byłem najlepszy, bo ja już kiedyś coś zaczynałem i uczestniczyłem w wyścigu. Teraz mogę być mediatorem: mam umiejętności związane z budowaniem relacji, komunikacją i pracą w zespole. Osoby takie mają też wiedzę na temat work-life-balance, o którym mówiliśmy poprzednio. Oni już to mają ułożone.

Jak pracodawcy traktują tę grupę?

Przede wszystkim poprzez stereotypy: będzie chorował, nic nie umie, jest oporny na zmiany, wolno się uczy. Nie ma to nic wspólnego z metryką. Opornym na zmiany czy nowinki techniczne można być w każdym wieku. Jednak przeciętny pracodawca, który nie jest psychologiem lub socjologiem ma tendencje do posługiwania się uproszczeniami. To prawda, że osoby w wieku 50+ znają komputer zazwyczaj użytkowo, a nie specjalistycznie, ale nie zawsze jest potrzebny Excel na najwyższym poziomie. Pracodawcy boją się, że starsi pracownicy chodzą częściej na zwolnienia, jednak ja nadal uważam, że jak się stworzy dobre warunki pracy, to ludzie mniej będą chodzić na zwolnienia.

Jak zespół przyjmuje takie osoby?

To jest duży problem. Ponieważ młode osoby podchodzą do starszych z poczuciem dużego lęku i zagrożenia. Boją się, że tacy pracownicy będą wiedzieli więcej od nich, albo mniej i nie dadzą się ustawić, bo przecież są starsze. I jak takimi zarządzać? Dużo niewiedzy, dużo lęku i dużo mechanizmów obronnych. Spotykałam się z takimi sytuacjami, że podczas rekrutacji menagerowie skreślali starsze osoby z obawy, że nie poradzą sobie z zarządzaniem nimi. To kwestia tego, na czym nam zależy: na tym, żeby mieć dobrego pracownika, czy na tym, żeby zwierzchnik się dobrze czuł.

A osoby równe stanowiskowo jak reagują?

Zazwyczaj na początku jest lekkie zdziwienie, ale potem takie osoby bardzo szybko wchodzą w zespół. Bo są wdzięczne, że są zatrudnione, bo mają doświadczenie z różnych zespołów, no i przede wszystkim nie muszą z tymi młodymi o nic rywalizować. Moim zdaniem też bardzo dobrze jest, jeśli zespół ma mieszaną strukturę wiekową, bo każdy wnosi inne spojrzenie. Ze szkoleń i projektów, które

przewodziłam wynika, że poziom wykształcenia w zespole powinien być podobny, ale nie wiek – bo tylko wtedy ludzie mogą się czegoś od siebie nauczyć.

A czy te osoby same z siebie czują się atrakcyjne na rynku pracy czy też kurczowo się tej pracy trzymają?

Myślę, że raczej trzymają się pracy. Nie są przyzwyczajone do zmian i boją się wejść w konkurencję z młodszymi, mają pod tym względem osłabione poczucie wartości.

Czy to bardziej uderza w kobiety?

Zdecydowanie. I to w dwójnasób. Jeśli mężczyzna pięćdziesięcioletni jest często uważany za atrakcyjnego, to kobieta w tym samym wieku jest zazwyczaj uważana za wariatkę dotkniętą klimakterium, która o niczym innym nie myśli, jak o tym, żeby iść na emeryturę. To jest szczególnie ciężkie w tych zawodach, w których liczy się atrakcyjność, bo człowiek pięćdziesięcioletni, co by nie robił i tak nie będzie wyglądał jak trzydziestolatek. To jest efekt mass mediów: kult młodości i piękna. A to jest przecież bardzo powierzchowne, bo wyglądem nie nadrobi się braku umiejętności. Tymczasem mamy tendencje do sprowadzania wielu aspektów pracy do reprezentacyjności. To jest taka sama kwestia jak to, czy pisać datę urodzenia w CV? Nie pisać. Genderowo to jest w ogóle zabronione. Cemu ma to służyć? W CV zamieszcza się tylko informacje istotne dla zatrudnienia: czy mój wiek jest kryterium dla którego powinnam zostać zatrudniona? Jeśli coś jest moją słabą stroną, to tego w CV nie umieszczam. Poza tym, to jest po prostu démodé.

Pytanie w obecnej sytuacji gospodarczej raczej spodziewane: co Pani sądzi o najnowszym pomysle rządu przedłużenia wieku emerytalnego do 67 lat?

Myślę o tym na wielu płaszczyznach. Rozumiem, skąd się to wzięło. Wiem, że przyłożyła się do tego sytuacja demograficzno-ekonomiczna, a także dyrektywy unijne, które wymuszają na nas zrobienie czegoś w tej kwestii, bo analizy pokazują, że mamy zbyt niski wskaźnik osób powyżej 55 roku aktywnych zawodowo i oczekuje się od nas skorygowania tej sytuacji. Stąd np. uruchomienie wszystkich programów typu 50+. W 2030 roku prognozuje się, że będzie tyle osób powyżej 55 roku życia nie pracujących, że przy naszym niżu demograficznym nie będzie miał kto zarabiać na ich emerytury.

Jednocześnie myślę, że jest to naprawdę złożona sprawa, która dotyczy tylko technicznej strony problemu pt. „żyjemy dłużej”, nie uwzględniając tego, w jakich warunkach to się będzie odbywało, a to jest kluczowe. Nie zawsze zgadzam się z Lechem Wałęsą, ale uważam, że miał rację odpowiadając na to samo pytanie postawione przez dziennikarza słowami: „Tylko zróbcie tak, żeby się każdemu chciało wyjść i iść do tej roboty”. I pewnie zawsze będzie grupa niezadowolonych, którzy wolą być w domu. Jednak dla większości praca jest naprawdę bardzo ważna, bo przedłuża życie, przedłuża sprawność umysłową, przedłuża poczucie tego, że się jest potrzebnym. Badania pokazują, że najbardziej satysfakcjonujące życie w domu nie daje nam tego, co nam daje praca: kontaktów, relacji z innymi ludźmi. Nawet najwspanialszy mąż, wnuki i ogród nie wystarczą. Jednak problemem jest to, że nie mówi się o tym, jak zadbać o osoby w wieku 50+, które mają pracować, jak nauczyć młode pokolenie szacunku do tych starszych pracowników, zarządzania wiekiem, elastycznych form zatrudnienia i takiego ustalenia pracy, żeby jak najbardziej wykorzystać te umiejętności, które ci ludzie mają. Bo nie można tak mechanicznie powiedzieć: no to teraz, hop, siup, pracujemy do 67 roku życia.

W kontekście przedłużonego wieku emerytalnego i zrównania długości pracy kobiet i mężczyzn ważna jest kwestia zdrowia. Ktoś okrutnie powiedział, że ten próg jest tak obliczony, aby duża liczba osób nie dożyła, co zwiększy pulę pieniędzy na emerytury dla innych. Cyniczny zabieg?

Tak jak mówiłam na początku, wszystko zależy od warunków pracy, a więc od tego, co starsze osoby miałyby robić, na ile będzie to elastyczna praca i w jakim środowisku itp. Jeśli ktoś całe życie ciężko pracował fizycznie, to jasne jest, że nie będzie mógł tego robić do 67 roku życia. Jednak wierzę, że będą grupy osób, które chcą czuć się potrzebne, aktywne, chcą się czymś podzielić. Oczywiście, ludzie będą chorować, ale przecież nie wszyscy, bo generalnie zdrowie nam się poprawia. To wszystko nie może jednak być takie ujednolicone. Trzeba wziąć pod uwagę wiele zmiennych. Trzeba zostawić jakieś furtki dla osób, które miały ciężkie zawody i muszą odpocząć. Uważam, że im bardziej warunki pracy będą dostosowane do wieku i możliwości starszych osób, tym łatwiej będzie takim pracownikom z chęcią coś zrobić, nawet w mniejszym wymiarze czasu. A jak nie, to będzie walka. I tego się spodziewam, jeśli ta zmiana wieku emerytalnego będzie wprowadzona mechanicznie. Bo na pewno będzie grupa osób zmęczonych, nie tylko fizycznie, ale i psychicznie, tymi wszystkimi rzeczami, o których mówiliśmy wcześniej: mobbingiem, nieliczeniem się z człowiekiem, dyskryminowaniem. To jest sytuacja, w której człowiek mówi: wolę iść na głodową emeryturę niż do tego piekła.

Wyobraźmy sobie panią Kowalską: ma pięćdziesiąt trzy lata, jest specjalistką średniego szczebla, straciła pracę, wnuków do bawienia nie ma, nie weszła w wiek ochrony przedemerytalnej. Co ona ma robić, jak szukać pracy?

Skoro nie ma wnuków, to już plus dla pracodawcy, bo jest dyspozycyjna. Reszta to już kwestia kompetencji. Na pewno nie będzie jej łatwo, bo pracodawcy boją się zatrudniać osoby 50+, ale zawsze musimy starać się jak najlepiej wyeksponować plusy danego wieku, o których mówiłam już wcześniej.

Pokutuje wyobrażenie, że osoby, które wchodzi w wiek ochronny przestają się wysilać i dawać dużo z siebie, bo wiedzą, że są „nie do ruszenia”.

Sądzę, że to kolejne uproszczenie. Uważam, że w grupie 50+, jak i w każdej innej będą zarówno osoby, które po prostu cieszą się, że pracują, jak i takie, które rzeczywiście trochę wyhamują oraz te, które będą pracować z pełnym impetem nawet po przekroczeniu progu emerytalnego. Osoby „nie do ruszenia” zdarzają się wszędzie, uważam jednak, że to nie tyle wynika z wieku, ale z tego, kim jesteśmy, jak pracujemy. Takie osoby znajdujemy w różnym wieku: bo mają odpowiedni kontrakt, albo wujka. Rozumiem, że pracodawcy mają takie obawy, jednak uważam, że to mit, któremu należy się dobrze przyjrzeć.

Zna Pani programy pomocowe dla osób 50+, które straciły pracę zanim weszły w wiek ochronny? Jak one powinny wyglądać?

Znam kilka, ale uważam, że powinno być ich więcej. Myślę, że takie programy powinny być na porządku dziennym, dlatego że dla osób 50+ już samo napisanie CV może być problemem. Ostatnio pracowałam z panią, która nie pracuje od 2 lat, czyli tak naprawdę niedługo, średnie wykształcenie ekonomiczne, sensowna babka. CV było jeszcze w porządku, natomiast list motywacyjny to już była porażka, albowiem ta osoba nigdy nie widziała na oczy dobrze napisanego listu motywacyjnego. I uważam, że tego powinno się ludzi uczyć. A także powinno się pracować nad przełamaniem stereotypu, nad tym jak dobrze sprzedać to 50+. Takie programy pomocowe, głównie podnoszące kwalifikacje zawodowe organizują urzędy pracy. Niestety, nie zawsze robią to właściwie. Pani, o której

mówię, zapisała się na kurs z urzędu pracy na temat kadr i płac, bo doszła do wniosku, że to jest luka w jej doświadczeniu, którą chciała uzupełnić. Niestety, trafiła na kurs bardzo źle przeprowadzony, którego użytkownicy protestowali, domagając się zmiany prowadzącego, ale nie można go już było zmienić. Niestety, po źle przeprowadzonym kursie jest tylko poczucie straty czasu, a umiejętności nadal brakuje.

Dużo jest też programów unijnych, dedykowanych wyłącznie grupie 50+, ponieważ osoby te stanowią osobną „grupę defaworyzowaną” (inaczej wykluczoną), tak jak matki powracające z urlopów wychowawczych, niepełnosprawni, czy młodzi wchodzący na rynek pracy. Takie kursy są bardziej kompleksowe, poza podnoszeniem kwalifikacji zawierają też elementy doradztwa zawodowego i psychologii.

Pracuje Pani z osobami przeżywającymi kryzys powołania do pracy.

Czy miała Pani kiedyś przypadek, że zgłosił się z kryzysem ktoś z grupy 50+?

Bo nie chciał już wykonywać swojej pracy, a do emerytury pozostało mu jeszcze 12 lat?

Myślę, że to są najtrudniejsze kryzysy. Uważa się, że ten okres zawodowy jest już raczej okresem pewnego podsumowywania i zaczynanie czegoś od nowa jest trudniejsze, ale oczywiście możliwe. Sądzę, że nie pozwalamy sobie w Polsce na taką wolność finansową, żeby zaczynać coś nowego tylko dlatego, że to co robię przestaje mnie kręcić. Myślę, że jeśli osoby w tym wieku zaczynają od nowa, to dlatego, że sytuacja je do tego zmusza, na przykład, kiedy ten kryzys zawodowy wynika z mobbingu, bo wtedy naprawdę trudno jest znaleźć wyjście. Miałam taką klientkę, która w wieku 54 lat była mobbingowana w pracy. Była bardzo dobrze wykształcona, była specjalistką, pracowała w środowisku międzynarodowym, naprawdę dobrze znała się na swojej pracy. Jednak, kiedy zmienił się zarząd padła ofiarą mobbingu, ponieważ jej bliska osoba, pracująca na kierowniczym stanowisku, była skłócona z zarządem. W tej sytuacji ona została wytypowana do odstrzału. I to rzeczywiście była sytuacja, kiedy trzeba było opuścić tę firmę i zacząć gdzie indziej. Jestem zdania, że jeśli komuś jest bardzo źle i przeżywa kryzys, to powinien coś zrobić, bo nawet rok czy dwa lata zwłoki mogą mu wyrządzić sporą krzywdę, a nawet zabić. Aby to jednak zrobić, trzeba się odpowiednio zabezpieczyć finansowo, bo to nie jest wiek, kiedy można swobodnie zaczynać od zera.

Czy emeryci dorabiają w Polsce? I czy powinni dorabiać, aby pozostawać w aktywności?

Dorabiają. W dużej ilości i na wiele sposobów. I legalnie i na czarno. I myślę, że to jest dobre. Po pierwsze, dlatego że daje pieniądze. Po drugie, dlatego że idą do ludzi. Pozostają nadal pewni siebie. Czują się potrzebni. I tak jest w różnych zawodach. W nauczycielstwie na przykład jest to powszechne. Jak jest dobra nauczycielka, to dyrektor nie chce jej wypuścić. I taka osoba zostaje już nie na etat, ale na pół, na część. Mimo że jest to trudny i niewdzięczny zawód, nauczyciele z powołania są zawsze bardzo aktywni, zaś nagłe zaniechanie tej aktywności, może być dla nich wstrząsem. Jednak nawet, jeśli emeryci nie dorabiają w zawodzie, a na przykład opiekując się dziećmi, albo starszymi osobami, nadal uważam, że to dobrze, bo coś powoduje, że wychodzą z domu.

Jakaś rada dla grupy 50+ na temat przetrwania na rynku pracy?

Uważam, że ważne jest, aby nie patrzeć na siebie przez pryzmat negatywów związanych z wiekiem, ale wyłowić te pozytywne, mocne strony wieloletniego doświadczenia i na tych zasobach związanych z wiekiem zbudować swoją rozmowę i ofertę dla pracodawcy. Jeśli my sami w to wierzymy i umiemy o tym z przekonaniem mówić, to przekonamy pracodawcę, nawet wtedy, gdy po głowie chodzą mu różne stereotypy związane z naszym wiekiem. Trzeba tak opowiadać o sobie, żeby zaprzeczać tym wszystkim stereotypom, o których mówiłyśmy na początku: zwolnienia chorobowe, wolne uczenie się, brak obsługi komputera, odporność na wiedzę. Trzeba podejść do tego zadaniowo, wypisać niedobory i ułożyć plan naprawczy: bo w każdym wieku można się doszkolić. Myślę, że kluczowe jest jednak po prostu skupianie się na tym co mamy i co pracodawcy możemy zaoferować, a nie wpadanie w rozpacz nad tym, czego nie mamy.

Pani Hanno, dziękuję bardzo za rozmowę, a Czytelników zachęcam do śledzenia naszego kolejnego spotkania, w którym znów zajmiemy się defaworyzowaną grupą.

Carol Wolff

KARNAWAŁOWE SPOTKANIE I CO ZAMAWIAMY?

Pięć przyjaciółek spotkało się po latach w swej ulubionej restauracji.

Każda z pań zamówiła coś do picia, danie główne i pozwoliły sobie panie na małe szaleństwo zamawiając deser. Sandra i pani BO zamówiły martini z lodem, a Sabina i pani WU po kieliszku czerwonego wina.

Pani Sara poprosiła o wodę z cytryną, nie piła ponieważ na spotkanie przyjechała samochodem. Sandra i pani ZE zamówiły stek. Sylwia i pani MU zamówiły pieczeń wołową.

Na deser Sylwia i pani RE zamówiły tort czekoladowy, natomiast Samanta i pani MU zamówiły szarlotkę. Sabina zamówiła lody. Żadna z dwóch pań siedzących obok siebie nie zamówiła tego samego. Kto zamówił bażanta, a co zjadła Sara?

Dermabrazja korundowa

Kaśka Puchalska

Wszyscy chcą wyglądać młodo. Dziewczyny inwestują w botoks, kolagen i liposukcję, a potem wbijają się w rurki i dalej jazda na lans z równie smarkatymi chłopakami, dobrze pamiętającymi swoje pierwsze słodkie małe Syrenki. No, dobra, ale czemu trzeba ukrywać wiek? Kogo lub co próbujemy oszukać? Czy chodzi o pozór wysokiej wydajności? A może chcemy

zamydlić oczy śmierci? Względnie rozwiązanie jest bardziej trywialne – młodość to kolejny wypromowany produkt, który próbują nam sprzedać, i to za całkiem niezłą kasę.

Oczywiście nie każdy ceni sobie młody look. Na przykład Wandzia nie ceniła. Miała inne priorytety. Praca i nauka, albo jak kto woli, nauka i praca.



Tak wyglądało życie Wandzi w skrócie, i to niekoniecznie w bardzo dużym. Mijały lata i ambitna dziewczyna chwyciła się coraz wyższych szczebli kariery, coraz bardziej ześlizgując się w rankingu lasek do wyciągnięcia. Wreszcie wypadła z tego rankingu całkowicie. Nieformalnie ją wykreślono. Chociaż nie była brzydka. Przeciwnie, całkiem ładniutka była (w swoim czasie). Ciało Wandzi tak bardzo zdominowały jej półkule mózgowe, że pozostałe zaokrąglenia dostrzegał już tylko lekarz. A, fuji!

I tak nadeszły 36. urodziny naszej bohaterki. Dzień nie różnił się niczym od innych, a pod jego koniec, tuż po tym jak przyszedł gratulacyjny SMS od wujcia z Grójca, Wandzia zorientowała się, że nikt inny nie złożył jej życzeń. Nie zajrzał nawet Wiktor, nowy kierownik pionu inwestycji, gość całkiem do rzeczy i w pewien sposób Wandzią zainteresowany. Smutne.

W drodze powrotnej z pracy Wandzia nabyła niewielki tort w celu dokonania samotnej konsumpcji. Po przyjeździe do domu przyozdobiła go małą świeczką i siadła ciężko przy kuchennym stole.

– Nie jest idealnie – powiedziała, krojąc solidny trójkącik czekoladowego deseru. Włożyła kawałek ciasta do ust i krytycznie rozejrzała się po swojej kawalerce. Byłoby to całkiem przytulne

gniazdko. Brakowało jednak bardzo ważnego elementu dekoracyjnego, jakim jest drugi człowiek. Wandzia nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy.

– Chciałabym coś w życiu zmienić, ale nie mam pojęcia, jak i co? – powiedziała na głos, a obudzone echo odziewnęło: Co?

Życzenie usłyszała przypadkowo Różowa Wróżka, która tego wieczora realizowała zlecenie dla mieszkającej po sąsiedzku gimnazjalistki. Różowa miała już swoje lata, tak około 450, jak sędzę. Nadal jednak zachowała młodzieńczy zapał do pracy. Życzenie Wandzi wydało jej się ciekawe. A może to raczej Wandzia jej się spodobała? Centrala była jednak sceptyczna. Z pewnymi oporami zapisano życzenie pod hasłem „Wandzia chce zmian”, a później z jeszcze większymi wątpliwościami wydano zgodę na wykonanie. Młodsze wróżki uśmiechały się kwaśno. Po co tak się starać, skoro Wandzia sama nie wie czego chce? Wydawało się, że Różowa Wróżka wzięła na swoje barki trudne wyzwanie i na nim polegnie. Nie trafiło jednak na żółtodzioba. Różowa była starą i doświadczoną wyjadaczką. Ekspertem w swojej dziedzinie. Zaraz zabrała się do dzieła. W jedną noc, w niewielkiej odległości od domu Wandzi, wyczarowała salon odnowy biologicznej o wdzięcznej i wiele mówiącej nazwie: „Forever young”.

Na jego witrynie super promocja krzyczała różowymi czcionkami: „Za każdą starzejącą się twarz dostaniesz nową, zarabiając ileś tam złotych i ileś groszy ponad to, co byś dostała, gdybyś nadal wyglądała staro”.

Z samego rana, dokładnie o 7:14, osłupiała Wandzia stanęła przed witryną salonu próbując zrozumieć, w jaki sposób w ciągu jednej nocy, w miejscu starej obskurnej mordowni powstało takie designerskie ciacho, a głównie, co do cholery może oznaczać ta niezwykła promocja? Niechlujstwo językowe? Bezmyślność? A może raczej sprytny chwyt marketingowy?

– To jakieś szachrajstwo – zamruczała pod nosem.

– Ale właściwie, dlaczego nie? – niespodziewanie zmieniła zdanie, przypominając sobie wczorajszy samotny wieczór.

– Wpadnę tu po pracy – podjęła szybką decyzję. – Skorzystam lub nie, ale muszę sprawdzić, o co tu chodzi? I jak postanowiła, tak się stało.

Różowa Wróżka odęła pogardliwie usta.

– Bułka z masłem – rzuciła w kierunku swoich młodszych koleżanek, patrzących na nią ze źle ukrywaną zazdrością.

– Jak ona to robi? – szemrały przez cały dzień po kątach. Ale nie gratulowały jej głośno. W każdym razie było na to za wcześnie.

– Poczekajmy, co będzie dalej – przekonywały jedna drugą, coraz uważniej przyglądając się Wandzi i jej poczynaniom.

A nasza bohaterka cały dzień siedziała jak na szpilkach. Nie potrafiła na niczym się skupić. Wszystko odkładała na później. Wcześniej nigdy jej się to nie zdarzało. Nawet jak miała grypę z powikłaniami wszystkie ważne sprawy załatwiała od ręki. Pod koniec dnia, gdzieś o 15:52, wpadł do Wandzi Wiktor. Wcześniej taka wizyta sprawiała, że dziewczyna trzepotała rzęsami, kołatała sercem, drżała rękoma, urywając rozpinane i zapinane na przemian guziki bluzeczki. Wizyty Wiktora były rzadkie, ale przedłużały się niekiedy do wieczora, choć głównie omawiali sprawy służbowe. Ale nie tego dnia. Zapinając w biegu kurtkę, Wandzi starczyło czasu tylko na lakoniczne:

– Muszę iść! Wpadnij jutro!

Kiedy kierownik działu odpowiedzialnego za inwestycje opowiadał kolegom z pionu o szoku, jaki wywołała w nim wychodząca przed czasem z pracy Wandzia, ona już stała przed witryną salonu kosmetycznego. Ponownie odczytała słowa promocji, a ponieważ nie mogła przeniknąć intencji autora, a nadal czuła silną desperację, chwyciła za klamkę i wkroczyła do środka z miną gotowej na wszystko amerykańskiej gospodyni domowej.

Salon olśnił ją wszystkimi odcieniami fioletu, stonowanego szarością hartowanej stali. Pomieszczenie lśniło nowością, jakością i luksusem. Lustra ciągnęły się od podłogi do sufitu, fotele obito pluszem, podłogi wyłożono egzotycznym drewnem. Z wysokich wazonów wystawały różowe kielichy cieplarnianych roślin. A wszystko przesiąknięte było dyskretną wonią eleganckich i zapewne drogich perfum.

– Wow! – pomyślała Wandzia i natychmiast za rękę chwyciła ją atrakcyjna panienka z ogromną masą blond loków. Drugą ręką dziewczę zdierało z Wandzi kurtkę, jednocześnie zaglądając jej w oczy i przymilnie zagadując o rodzaj napoju, który sobie życzy. Ponieważ nie był to bar, Wandzia poczuła się lekko skołowana i zaczęła jąkać coś o wyższości owocowej herbaty nad jej czarną siostrą. Blondyneczka przytaknęła i zniknęła niczym sen nocy letniej, unosząc ze sobą wierzchnie odzienie naszej bohaterki. Natychmiast pojawiło się drugie, równie śliczne, ale tym razem kruczoczarne dziewczę i zaczęło robić przegląd Wandzinych oczu i ust, muskać tipsem splątane pasma jej krótkich kosmyków, i wykrzykiwać niczym odkrywca nowego gatunku robaka.

– Interesujące, naprawdę, interesujące! Co za oryginalne uczesanie! Co za oryginalny makijaż! – Wandzia dziwiła się coraz bardziej. Czytywała regularnie

naukowe artykuły, przeglądała codziennie prasę, często bywała w bibliotece narodowej, tylko trochę rzadziej w teatrze. Ale jeśli chodzi o makijaż, to wykonała go jak dotąd dwa razy w życiu. Pierwszy raz na studniówkę, a drugi raz nieco później, ale jakoś nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to dokładnie było? W każdym razie na pewno nie w ciągu ostatnich 10 lat.

Wreszcie z ust czarnulki padło głośne i uroczyste.

– Dermabrazja korundowa!

– Że co? – nie zrozumiała Wandzia.

– Tylko dermabrazja korundowa może tu pomóc. Plus algi. Nie widzę innego rozwiązania.

– Ale co to? – przeraziła się biedna, podstarzała przedwcześnie istota. Czarnulka przybrała uśmiech pielęgniarki ze szpitala dziecięcego.

– To nic takiego. Nie będzie bolało. Cena to 200 złotych.

– A co z promocją? – przytomnie dopytała Wandzia.

– To właśnie jest zabieg objęty promocją. Jeśli pani się zdecyduje, otrzyma pani odmłodzoną twarz oraz 200 złotych.

– Otrzymam 200 złotych? – brwi Wandzi podjechały ponad jej nierówną grzywkę. – Chyba się pani pomyliła. To ja powinienam zapłacić 200 złotych.

Wandzia była nie tylko ambitna i pracowita, ale i uczciwa.

– Zwykle tak jest, jak pani mówi.

Ale promocja ma swoje prawa. W jej ramach za swoją starą, o przepraszam najmocniej, za swoją lekko...hmm... zaniedbaną twarz... tak właśnie, za lekko podniszczoną buzię, którą nam pani odda, dostanie pani nową, młodszą wraz z 200-złotową premią promocyjną. A widząc całkowite zaskoczenie na licu klientki czarnulka ponowiła wyjaśnienia.

– Nie rozumie pani? Zabierzemy dojrzałą, przepraszam najmocniej, zabierzemy produkt używany, czyli pani starą, o przepraszam najmocniej, pani zaniedbaną twarz. W zamian otrzyma pani nowy produkt, czyli młodą buźkę oraz premię, tj. 200 złotych. To całkiem proste. Muszę jednak panią uprzedzić, że choć dermabrazja to bardzo bezpieczne rozwiązanie, niemniej po zabiegu będzie pani wyglądać o wiele młodziej!

Wandzia zadziwiła się po raz kolejny.

– To chyba dobrze?

– To zależy. Jeśli tego sobie pani życzy, to nawet bardzo dobrze. Ale jeśli chce pani uzyskać inny efekt, to nie jest to właściwy produkt.

– Ale skoro tu przyszłam, to chyba właśnie chodzi mi o młodszy wygląd – próbowała oponować Wandzia.

– Niewykluczone – spokojnie wyjaśniała kosmetyczka. – Ale czy rozumie pani konsekwencje?

– Czy rozumiem, że będę wyglądać na młodszą i wszyscy będą się zachwycać przemianą? – pozwoliła sobie na ironię Wandzia.

– Niewykluczone, że tak właśnie będzie. Możliwa jest jednak inna sytuacja. Możliwe, że pani młodszy wygląd nie wzbudzi zachwyty tych osób, na których pani zależy najbardziej.

– Czemu, przecież nie ma nic złego w młodym wyglądzie?

Wandzia zaczęła podejrzewać, że kosmetyczka pomyliła się, podając warunki promocji i teraz, odkrywszy pomyłkę, próbuje wycofać się z twarzą.

– Chodzi o to, że młody wygląd ma niewątpliwie zalety, ale ma również wady.

– Jakie? – naciskała Wandzia.

– Starość budzi szacunek i zaufanie – odparła czarnowłosa filozofka.

– Zgadza się. Za to młodość budzi zachwyty – zauważyła Wandzia.

– Starość to powód do radości – wsparła koleżankę jasnowłosa kosmetyczka, jednocześnie wręczając Wandzi filiżankę z parującym napojem. A widząc całkowite zaskoczenie klientki doprecyzowała.

– Chodzi o to, że niektórzy mają pecha i umierają młodo.

– Starość to powód do dumy, to doświadczenie i pewność siebie. To wiedza i obycie – wstępowała na coraz wyższego rumaka brunetka. Wandzia patrzyła na nią niemal z podziwem. Nie spodziewała się takich słów z ust osoby z trzycentymetrowymi tipsami. Ale najwyraźniej nie można oceniać ludzi po wyglądzie. Wandzia pojęła, że z jakiegoś powodu dziewczyny chcą wzbudzić w niej refleksję i zawrócić z raz obranej ścieżki.

Nie mogła na to pozwolić.

– Dermabrazja korundowa raz! – wykrzyknęła najbardziej stanowczo jak potrafiła. I tak się stało.

Stara twarz została zastąpiona nową. W ten sposób dziewczyna (bo już nie kobieta) straciła lub jak kto woli zyskała 10 lat, a następnie opuściła salon „Forever young” z dwustuzłotowym banknotem w kieszeni i look’iem: jestem-dwudziestolatką-i-reszta-niewiele-mnie-interesuje.

Co się potem działo? Nie liczcie, że Wandzia wam opowie. Stara się usilnie o tych dwóch tygodniach zapomnieć. Dokładnie tyle czasu zdołała wytrzymać z nową twarzą. Ja natomiast chętnie ją wyręczę.

Z początku Wandzia była przemianą zachwycona. Jej zachwyt trwał dwa dni, a jego źródłem byli z jednej strony podrywający ją studenci, z drugiej zaś brak problemów z zakupem rurek, w których wyglądała wręcz bajkowo. Rewelacja? Niekoniecznie. Młodo wyglądająca Wandzia poniosła bowiem sromotną porażkę w pracy. W firmie przestano traktować ją poważnie. Nie konsultowano trudnych spraw, nie zapraszano do udziału w nowych projektach. Nikt z Wandzią nie gadał na inne tematy niż wieczorne wypadki do klubu

i imprezki. Na jednej z narad, na którą przyszła niezaproszona, choć wcześniej uczestniczyła w każdym spotkaniu, szef poprosił by zrobiła kawę i podała starszym kolegom. Tak się wyraził. Taka zniewaga nie spotkała ją nawet na początku kariery. A już najgorzej było z Wiktorem. Nie tylko nie zaglądał do niej, ale nawet jej się nie kłaniał, kiedy mijali się na korytarzu. Zaczął za to chadzać do pani Zosi (zameężnej, prawie 50-letniej kobiety, brzydkiej, grubej i od 5 lat ubierającej się w te same czarne spodnie). Masakra! Wandzia próbowała walczyć. Próbowała się wykazać. Ale jak młokos może wygrać ze starymi wyjadaczami? Jak żółtodziób może pokonać sfore starych, kutych na cztery łapy szpeców? Jak laleczka może zmierzyć się z żywą, mądrą, pełną zrozumienia i empatii kobietą? Nie da rady!

Wandzia stanęła przed dylematem. Z jednej strony rurki i adoracja młodych mężczyzn. Z drugiej strony utrata pozycji w pracy i atencji Wiktora, w którym najwyraźniej była zakochana. A tak, Wandzia była zakochana! Potrzebowała 14 dni, żeby to sobie uświadomić. O, żesz ty!

Jak już wspominałam, po tym czasie Wandzia zdecydowała wrócić do swojej starej postaci. Tego

dnia, zaraz po pracy, pobiegła do „Forever young”. W pustej uliczce salon straszył wielką, brudną, słabo oświetloną witryną. Na szczęście był otwarty. Wandzia wkroczyła tam nawet bardziej zdesperowana niż za pierwszym razem. Pomieszczenie było w opłakanym stanie. Na ścianach wisiały popękane lustra, podłoga była porysowana, zabrakło mebli, wazonów i kwiatów. Wszędzie był brud i opuszczenie. Na jej spotkanie wyszła starsza pani w brudnym różowym kitlu i bez wstępów poinformowała, że salon bankrutuje. Wandzia była w szoku. Musiała odzyskać swoją starą twarz! Wyjęła 200 złotych, a potem jeszcze dołożyła parę stów i błagała o zwrócenie jej poprzedniego wyglądu. Starsza pani nie odzywała się, patrzyła na Wandzię uważnie i półgestami zachęcała do zwierzeń. Wandzia wyznała wszystko. Że jest pracoholiczką, że dotąd nie rozumiała własnych potrzeb, a przede wszystkim potrzeby bycia z drugim człowiekiem (opowiedziała o Wiktorze). Tłumaczyła, że wszystko przez to, by piąć się wyżej, żeby coraz bardziej imponować samej sobie, by budzić szacunek, a może też zawiść u innych? Oj, chyba tak! Kiedy wypowiadała się do końca i obiecała poprawę, starsza pani upewniła się jeszcze tylko, czy jest pewna tego czego chce? Wandzia potwierdziła

z wielką stanowczością. Chciała coś zmienić, ale jednocześnie musiała też pozostać sobą. O, tak! Bardzo lubiła swoje stare ja, choć już wiedziała, że było ono niedoskonałe i wymagało pewnych korekt.

I udało się. Odzyskała starą twarz! O, przepraszam! Eee... Po prostu znów stała się dawną Wandzią. Odzyskała swoje życie. Następnego dnia, gdy na korytarzu natknęła się na Wiktora, ten prawie podskoczył z radości.

– Gdzie ty się podziewałaś, Wandziu? – zapytał. A ona zamiast wieść uczone dysputy zaproponowała kawę. Zgodził się od razu. A czemu nie? Pani Zosia przegrała na całej linii.

Różowa Wróżka musiała się jednak nasłuchać. Cel niby został osiągnięty, Wandzia zmieniła „coś” w swoim życiu, ale jakim kosztem? Po co były te wszystkie drogie inwestycje? Salon z pluszowymi meblami w tej dzielnicy kosztował majątek. Przyrząd do dermabrazji to też nie chińska suszarka do włosów. Na cholerę to było? Różowa wypracowała sobie jednak taką renomę, że wystarczyły jej zapewnienia, że nie można było inaczej. Ci ignoranci z centrali nie rozumieli zawiłości ludzkiej psychiki. Jej młodsze koleżanki trochę kpili, ale ona się tym nie przejmowała. Pewne sprawy stają się bowiem zrozumiałe

dopiero wtedy, gdy doświadczamy ich na własnej skórze. Ale co ci młodzi mogą o tym wiedzieć?

Tak na koniec dodam jeszcze, że Wandzia zaczęła trochę bardziej dbać o siebie. Regularnie w swoje urodziny wpada do kosmetyczki i funduje sobie mikrodermabrazję. Oczywiście Wandzia zdaje sobie sprawę, że zabieg ten nie ma mocy

odmładzania o dekadę. Może dlatego go stosuje? Albo robi to trochę z przekory, trochę for fun, a trochę tak na wszelki wypadek. A życząc wszystkim spełnienia życzeń urodzinowych, powtórzę za Wandzią: „Nie ufajcie promocjom!”

K.P.



Trójwymiarowa

maskarada

Joanna Wroczyńska

Dwa wyrazy twarzy - uśmiech i smutek. Maski stanowiły niezbędny rekwizyt aktorów starogreckiego teatru. To one pozwalały widzowi poznać bohatera jako pozytywną lub negatywną postać, a aktorowi lepiej wczuć się rolę, nawet zagrać kobietę! Były obok koturnów niezbędnym atrybutem w przedstawieniach scenicznych.

Dziś maski niejako odeszły w niepamięć, z upływem czasu teatr ewoluował, wytwarzając multum innych, równie atrakcyjnych form przyciągania uwagi widza. Ostatnim wynalazkiem jest forma musicalu 3D. Brzmi zjawiskowo, a jednak... W dobie rozwoju elektroniki komputerowej wszystko jest możliwe! Musical to moja ulubiona forma teatralna, ponieważ łączy w sobie wszystko; aktorstwo, śpiew, taniec, niekiedy elementy akrobatyki, ale nie tylko. A jednak są tacy, którym wciąż mało - Janusz Józefowicz, znany z oryginalnego podejścia do sztuki,

zapragnął od musicalu czegoś więcej. Łącząc go więc z technologią stereoskopii stworzył pierwszy musical 3D „POLITA”. Aby ocenić ów eksperyment wystarczy... założyć okulary!

Jako pretekst do przedstawienia wykorzystana została historia polskiej gwiazdy Hollywood, w której rolę wcieliła się wszechstronnie utalentowana Natasza Urbańska. Pola Negri, odtwórczyni ponad 50 ról filmowych pierwsze kroki stawiała jako baletnica, ucząc się tańca w Polsce. Następnie zajęła się studiowaniem aktorstwa, w efekcie czego, dzięki ciężkiej pracy i odrobinie szczęścia udało się zawitać do Hollywood. Tam musiała odrzucić maskę nieśmiałego dziewczęcia i stać się dojrzałą i pewną siebie kobietą, która wie czego chce. Udało jej się spotkać na swojej drodze same ówczesne sławy poczynawszy od Reinhardta, Straussa, Picasso, a kończąc na Chaplinie i Valentino, którzy starali

się o jej rękę. W obliczu tylu osób nie sposób zachować jednolitości – Pola zmieniała co krok maski, próbując się dostosować. Jest w musicalu piękna scena, w której zmęczona, w samotności zrzuca wszystkie oblicza odsłaniając to prawdziwe - zagubionej i nieszczęśliwej wśród nadmiaru przygód. Sława zabrała jej bliskich, odgrodziła oceanem od rodziny. Po krachu giełdy, w amoku zdecydowała się grać dla III Rzeszy, co ostatecznie zaważyło na końcu jej kariery.

W nieco ponad dwugodzinnym spektaklu widzimy istną feerię przedstawień opowiadających ową historię. I wszystko pięknie, a jednak muzyka nie bardzo mnie zachwyciła, podobnie jak sceny grupowe, i taneczne... Ekran 3D, który wykorzystany został jako sceneria spowodował, że scena stała prawie pusta przez większość przedstawienia. Stereoscopia też nie za każdym razem nadawała pożądany efekt, ponieważ istotna jest synchronizacja aktorów z ekranem, która nie zawsze wychodziła. Trochę szkoda, że nie było więcej „żywych” efektów – numerów wokalnych, tanecznych... tego, na czym powinien opierać się właśnie musical.

Uważam, że istotnie wprowadzona została nowa jakość, jednak trzeba podejść do niej ostrożnie i popracować nad nią, nie ograniczając

przy tym innych istotnych elementów. Brakowało mi w „Policie” właśnie bliskiego kontaktu z artyzmem, popisów wykonawców. Tak więc zostaję zwolenniczką tradycyjnego teatru, gdzie wszelkie efekty uzyskiwane są *naprawdę*, a energia emanująca od wykonawców ze sceny przenosi się na widza i sprawia, że dobry nastrój nie opuszcza go jeszcze przez cały następny dzień! Pasjonatka musicali, **J.W.**



Maska Ewy

Katarzyna Bartsch-Cielebon

Ewa kończyła właśnie wycierać się po szybkim prysznicu, kiedy jej wzrok padł z przyzwyczajenia na duże łazienkowe lustro. Jej odbicie zamachało do niej radośnie.

– Jezus Maria – wykrzyknęła.

– Oj, ty już swoje – odpowiedziało odbicie nie pasującym męskim głosem.

– Co ty tu robisz? – owinęła się w ciepły, frotowy ręcznik.

– Chciałem ci złożyć życzenia z okazji urodzin.

– Musisz mnie tak straszyć – odbicie uśmiechnęło się jej szerokim uśmiechem.

– Przynajmniej mam frajdę.

– I koniecznie musisz wyglądać tak jak ja?



– Według życzenia – lustro zmieniło jej rysy w twarz mężczyzny. Jego. – A poza tym to naprawdę zabawne, że to właśnie on.

– Przynajmniej mam przestrożę. Resztę też lepiej popraw. Głupio wygląda z ciałem kobiety. Tylko ubrany – zastrzegła natychmiast.

– Oj, pruderia. Ty nie jesteś ubrana.

– Ja, to co innego. – Kobięce kształty zatarły się i do męskiej twarzy dopasowała się reszta ciała. Czarna podkoszulka z wielkim białym napisem: WERE ARE YOU?

– Może być? – kiwnęła aprobowająco głową.

– To tylko przestroga, czy może tęsknota? – zapytał mężczyzna z lustra.



– Przypomnienie. Dzięki niemu znalazłam ciebie.
– Ja się nigdzie nie zgubiłem. Byłem zawsze – odbicie roześmiało się – tylko, że wtedy mnie zauważyłaś.
– Taa – pokiwała głową – myślałam, że wpadam w schizofrenię.
– Fajnie by było. Miałabyś syndrom wiecznej pielęgniarki Florence Nightingale. Bidulka myślała, że mu pomoże. Ojjoj. Miałaś takie dobre chęci – pokiwał z politowaniem – A wiesz, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane...
– Tak, teraz już wiem – Ewa spuściła głowę.



– Patrz, prosiłaś go o pomoc, a on co? Jak prawdziwy facet. Odwrócił się i ani me, ani be, ani pocałuj w d... mnie.
– Nie mam do niego żalu. Mógł się przestraszyć.
– O, nie wierzę przebaczyłaś mu?!!
– Przebaczyłam, a co?! Miałam się z tobą cały czas użerać?
– Omal cię nie wykończył!!
– To ty mnie omal nie wykończyłaś! – powiedziała gniewnie.
– A ten samochód pamiętasz? Pamiętasz – głos mężczyzny tchnął pewnością – Nadal nie wiesz, kto cię wtedy sprzed niego wyciągnął?
– No, na pewno nie ty. To nie byłoby w twoim interesie – znowu szeroki uśmiech.
– A było tak blisko. Tak blisko. Szkoda, że ostatecznie twój mąż się wmieszał – mężczyzna westchnął – tak niewiele brakowało. Może parę dni...
– Godzin. Uratował mnie – stwierdziła kobieta zagryzając wargi.
– Nooo. No i co, jesteś szczęśliwa? – Ewa zamilkła szukając odpowiedzi.
– A pewnie, że znam wszystkie twoje kłamstwa – odbicie roześmiało się radośnie.
– To bardzo dobry człowiek i bardzo się stara.
– Stara się, co? – dopytywał się mężczyzna z lustra – stara się być dobrym mężem? Naprawdę? Jak to było: trzy lata płakania, siedem żebrania, dziesięć czekania...

na miłość. No i co, biedna Penelopo doczekałaś się?

– Kocha mnie – szepnęła.

– Myślisz, że po tym wszystkim co mu zrobiłaś nadal cię kocha? Że nadal ci ufa? Nie byłaś wierna Penelopo, nie byłaś... A jesteś pewna, że cię w ogóle kochał? Ciągłe go nie ma. Ciągłe zajęty. Ciągłe koło niego jakieś babki się kręcą. Fajne. Młode. Atrakcyjne. Jedna nawet ci powiedziała, że go kocha. A jak już jest w domu, to co? Jakieś dobre słowo? Może przypadkiem jakiś komplement? Prezent? Chociaż kwiatek z ogrodu? Czy tylko milczy? Albo znowu do roboty. A pomaga ci w domu. Hę? Chociaż troszeczkę? O ty-ci-tyci – pokazał palcami dłoni milimetrową szczelinę.

– Nie uda ci się to. Nie dasz rady. Nie będę zazdrosna ani zła. Mowy nie ma. Możesz się dać wypchać i odstawić do muzeum. Wiem, że mnie kocha – mocno zacisnęła dłonie na brzegu umywalki. – Zrozumiał sytuację. Zrozumiał... Przyznał, że wina była też po jego stronie. Zrozumiał. Bardzo mu zależy. I widzisz, kiedy myślałam, że już wszystko przepadło, że już całkiem po mnie, miałam tylko jedno marzenie – Ewa uśmiechnęła się lekko – a ty nawet nie możesz wiedzieć, jakie – teraz już uśmiechnęła się szeroko – to było dobre marzenie. Szczere. Jesteś ciekawy?

– No? Czym mnie zaskoczysz?

– Widzisz, myślałam tylko o tym... tylko o tym, że skoro dla mnie nie ma już szansy, to niech przynajmniej on... będzie szczęśliwy. Chociaż on. I widzisz, wiesz, dlaczego wiem, że mnie kocha? Bo... – głos się jej załamał – bo... zawalczył o mnie. Bo stwierdził, że beze mnie nie da rady... Tak po prostu. I nie jest ważne nic więcej. Tylko to, co jest teraz. Wszyscy widzisz... Wszyscy błądzimy. Dajemy się zwieść pozorom. Gonimy za jakimiś mrzonkami. Wszyscy. Znasz się na tym. Siedzisz w tym po uszy.

– No, tak jakby – odbicie mruknęło niechętnie.

– Z kimkolwiek bym nie była, zawsze byłoby coś. Ta przesolona zupa czy nie zakręcona pasta w łazience. Zawsze coś się znajdzie. Zawsze. Mija zauroczenie i trzeba budować. I wtedy trzeba naprawdę kochać, żeby dać radę... dać radę, kiedy jest źle. Ciężko. Pod górę. Bo co to za trudność, kiedy wszystko idzie jak z płatka? Zresztą... I tak byś coś znalazł... Wtedy pewnie pojawiłaby się myśl, że jest za nudno, za monotennie. Że trzeba koniecznie coś zmienić... Prawda?

– Myślisz, że mnie tak dobrze znasz?

– Ewa wyczuła ironię w głosie rozmówcy. Sprężyła się gotowa do odparcia ataku.

– Nie – odpowiedziała niezbyt pewnie

– mówię to, co myślę.

– Wycofujesz się!? Jak zawsze –

odbicie machnęło lekceważąco ręką. – Taki totalny brak własnego zdania. Brak umiejętności, aby je bronić. A pewnie, że nie potrafisz być asertywna. Pewnie, że boisz się zabierać głos. Bo co? Bo nigdy nic mądrego nie udało ci się powiedzieć – kobieta pokiwała głową – biedna, niekochana dziewczynka. Bardzo mi ciebie szkoda – przyjął współczujący wyraz twarzy.

– Mmmm – zaczęła – no... no, dawaj. Co jeszcze? Że jestem leniwa? Że nie potrafię gotować? A może, że nie mam sukcesów w pracy? Że się nie nadaje do niczego? Taaa? Dawaj dokopuj – zamilkła dając odbiciu czas. Mężczyzna patrzył na nią też nie bardzo wiedząc, co powiedzieć – i co, nie masz nic do powiedzenia, czy jesteś ciekaw, do czego dążę? Hmm?! – zapytała zaczepnie – no, dobra. To teraz względem mojego zdania... Wiem, że wyszukujesz nasze słabości, pogłębiasz je jak się da... poprzez nasze zwątpienie, niewiarę w siebie, czarne myśli. Bardzo ci zależy, abyśmy wątpili w nasze siły. Abyśmy uważali się za nic nie wartych, bo wtedy masz otwartą furtkę. Bo możesz wtedy podsuwać różne dziwne propozycje... Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. I racja. Tylko myślę, że chyba jednak cię boli, gdy z twoich zamierzeń wychodzą faktycznie dobre rzeczy. No tak jakoś przypadkiem.

W ostatnim momencie. Tak, jakbyś nie mógł doprowadzić rzeczy do końca. I wiesz co? Nie możesz. Nie masz takiej władzy. Możesz tylko mącić a nie tworzyć.

– Ojej... jaka deklaracja wiary. Już się boję – uśmiechnął się ironicznie.

– Twój problem, nie mój – wzruszyła ramionami.

– Z wami kobietami to tak zawsze... można was zdeptać, sponiewierać, wcisnąć w błoto, a wy i tak się podniesiecie, otrzepiecie i idziecie dalej.

– Chyba powiedziałeś komplement – zawahała się Ewa czując, że zmienia front.

– No cóż... Jakieś życzenia urodzinowe?

– Pokój na świecie? Bo o tym, że dasz mi spokój nie mam co marzyć, nie?

– No raczej. Cóż, skoro nic ci nie przychodzi do głowy... znikam – odbicie zatarło się i Ewa zobaczyła siebie. I swoje zaniepokojone oczy. Zza drzwi zaczęły dochodzić odgłosy coraz bardziej podniesionych głosów. Zaczynała się domowa awantura.

– Prezent urodzinowy – zacisnęła wargi.

K.B.C.

Karol Wojtyła

BRAT NASZEGO BOGA

reż. Artur Dziurman

w roli głównej: Maciej Jackowski

obsada:

Danuta Damek, Janina Filip, Wanda Mizik, Renata Szczepaniak, Joanna Zając, Mieciu Baczyński, Krzysztof Bartosz, Janusz Bąk, Mariusz Długopolski, Mariusz Koczara, Lech Łysak, Adam Łysek, Michał Płatek, Henryk Redkiewicz, Mateusz Wittek, Stasiu Zając.

gościnnie:

Iwona Chamieliec, Magdalena Sokołowska

reżyser słowa: Janusz Szydlowski

scenografia: Ryszard Melliwa

kostiumy: Elżbieta Dyjakowska, Justyna

asystent reżysera: Renata Furdyna

opracowanie muzyczne: Leszek Odzieniec

muzyka Jan AP, Kaczmarek, Jacek Skubikowski, IL DIVO,

inscenizacja filmowa: Jacek Nowakowski, Maciej Glas oraz TVNET

fotograf: Piotr Jantos

Koordynator projektu: Agnieszka Kotarba

Promocja i PR Kinga Przedzimirska

Produkcja Stowarzyszenie Scena Moliere ul. Szewska 4 w Krakowie

PREMIERA 4 IV 2009

patronat honorowy objęli:
Metropolita Krakowski Ks. Kardynał St. Dziwisz

Prezydent Miasta Krakowa Jacek Majchrowski

Projekt został zrealizowany przy wsparciu udzielonym przez Islandię, Liechtenstein i

podziękowania za pomoc przy realizacji spektaklu:



patroni medialni

WWW.KRAKOW.PL

TVP KRAKÓW

INTERIA.PL

echo

TVNET

RADIO KRAKÓW
Małopolska

teraz Muta

sponsor



W teatrze życia

Kasia Drzazgowska

11 stycznia 2012 roku zmarła prof. Hanna Świda-Ziemba, wybitny socjolog i nauczyciel akademicki. Niezwykle smutna jest świadomość, że kolejne pokolenia studentów nie doświadczą kontaktu z tak znaczącym autorytetem i niezwykle ciekawym człowiekiem. Mam jednak nadzieję,

że badania prowadzone przez prof. Świdę i jej publikacje będą inspirować rzeszę młodych ludzi przez wiele lat. Jedną z myśli jej autorstwa, która szczególnie głęboko zapadła mi w pamięć, to wprowadzenie kategorii scenariusza w opisie mechanizmów rządzących totalitarnym systemem. Scenariusz ten opierał się na twardych,

arbitralnie narzuconych regułach. Patrząc wstecz, na rzeczywistość PRL-u, trudno się nie zgodzić ze stwierdzeniem, że obywatele byli pionkami w rękach władzy, pełniące funkcję strażników scenariusza, którzy dbali o odgrywanie go bez zakłóceń. A jak jest obecnie? Czy nadal ludzie to aktorzy realizujący scenariusz? Na pierwszy rzut oka, nie. Żyjemy w wolnym, demokratycznie rządzonym kraju, codzienne życie nie jest monitorowane, a sąsiedzi nie donoszą na siebie na wzajem. Jednak czy na pewno jesteśmy wolni od scenariusza? Można przyjąć stanowisko, że po prostu uległ on zmianie, a my nadal jesteśmy aktorami w teatrze życia codziennego. Nie żyjemy już według wspólnego scenariusza, ale każdy sam tworzy własne więzienie ambicji, aspiracji, oczekiwań. Dążymy do osiągnięcia sukcesu, czasem za wszelką cenę. A strażnicy? Nie są już potrzebni, bo w dobie indywidualizmu kryją się w sumieniu. Albo, co gorsza, przemawiają ustami opinii publicznej, która staje się wyznacznikiem norm i dobrego smaku. Młodzież oddaje się w niewolę Internetu, telewizji i kolorowych magazynów. Wzorce przekazywane są za pośrednictwem monitora, a autorytetami stają się

nastolatki, umieszczający filmiki w serwisie YouTube. Zamiast korzystać z wolności myśli, część idzie na łatwiznę, by nie musieć myśleć, podejmować samodzielnych decyzji i ponosić za nie odpowiedzialności. Oglądanie seriali czy programów rozrywkowych zwalnia z tego obowiązku. Niektórych zadowala życie cudzymi problemami i radość z sukcesów odnoszonych przez bohaterów masowej wyobraźni. Zatrzymajmy się na chwilę i założmy, że nie mamy dostępu do sieci, radia ani telewizji, a komórka właśnie się wyładowała i odcięto dopływ prądu. Taka wizja wzbudza grozę, bo uświadamiamy sobie, że nie wiemy, co począć. Odcięcie od skrzynki mailowej czy listy kontaktów w telefonie wydają się być końcem świata. Przynajmniej dla części z nas. Czy rzeczywiście relacje z drugim człowiekiem ograniczają się obecnie do wysyłania smsów, maili i czatowania na Facebooku? Oczywiście, że nie. Ludzie przecież rozmawiają twarzą w twarz. Jednak na takie spotkanie trzeba się przecież umówić. I tu ponownie nieoceniona rola komórki czy komputera. Żyjemy w społeczeństwie informacyjnym, nie da się ukryć, ale XXI wiek nie musi oznaczać zaniku więzi, moralności ani

całkowitego podporządkowania życia i relacji międzyludzkich rozwojowi technologicznemu.

Przyglądając się otoczeniu, znajduję kolejną teatralną analogię. Już starożytni aktorzy by lepiej odegrać rolę, przywdziewali maski. Obecnie wychodząc z domu także je zakładamy, udajemy kogoś, kim nie jesteśmy, za kogo chcielibyśmy być uważani. Nie można jednak powiedzieć, że mamy tylko jedną wyjściową maskę. Jest ich wiele, na każdą okazję inna. Do pracy, na randkę, spotkanie ze znajomymi. Zmieniamy je tak często, jak wymagają tego nasze role. Czasami zdejmujemy maski i zostajemy sam na sam ze sobą. Oby nie doszło do tego, że sami przed sobą gramy kogoś, kim w rzeczywistości nie jesteśmy, bo zbyt głębokie wejście w rolę może być niebezpieczne. Poza tym, dążenie za wszelką cenę do upodobnienia się do wzorców kreowanych przez media, w celu uzyskania akceptacji i podziwu otoczenia, pociąga za sobą ryzyko utracenia własnej tożsamości, poczucia odrębności. Czyli efekt finalny jest łudząco podobny do tego uzyskiwanego przez władzę poprzez zastosowanie środków przymusu. Totalitarny system przestał funkcjonować w Polsce już ponad dwadzieścia lat temu. Jednak ludzie,

którzy wychowali się w rzeczywistości depersonalizacji i zupełnego braku prywatności, nie są w stanie porzucić wewnętrznego zniewolenia, które opisywała prof. Świda. Co bardziej niepokojące, także część przedstawicieli młodego pokolenia zdaje się doskonale wpisywać w ten schemat. Fakt ten potwierdza sama prof. Hanna Świda-Ziemba podczas wywiadu.

„J. Paradowska:

- Z tego, co Pani mówi, można wnosić, że człowiek wewnętrznie zniewolony, którego opisywała Pani jako produkt systemu totalitarnego, w jakiejś mutacji obecnie znów się pojawia?

H. Świda-Ziemba:

- Oczywiście. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że do tego nie jest konieczny system przemocy.”

Problem, z jakim mamy obecnie do czynienia, jest o tyle trudny do rozwiązania, że często nie zdajemy sobie sprawy z tego, że jesteśmy wewnętrznie zniewoleni, a co za tym idzie, nie jesteśmy w stanie podjąć z tym zniewoleniem walki. Jednakowoż nie jesteśmy bezbronni. Można uciec z tego więzienia, gdyż nie ma w nim krat. Ale trzeba potrafić to dostrzec, by podjąć próbę wyzwolenia i stać się reżyserem własnego życia.

K.D.



WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon
powieść w odcinkach
cz. IV

Kiedy dziewczyny opuściły pokój, wsparta głowę na dłoni i zamyśliła się. Podobny przypadek zdarzył się jej dawno temu, nawet bardzo dawno. Była wtedy jeszcze młoda. Dopiero poślubiona mężatka. Będąc panią zamku musiała dbać o znajdującą się tu służbę, opiekować się gośćmi i spełniać jeszcze tysiące innych spraw powierzonych gospodyni. Wtedy niezmiernie przejęła się losem dziewczyny. Poszukiwała tego, który ją skrzywdził. Robiła to tak gorliwie, że służba zaczęła się z niej podśmiewać. Jakże wtedy było jej przykro. Ujawniło się jednak, że dziewczyna sprawę uknuła. Jako że została zbezczeszczona pod dachem swojej opiekunki, ta powinna zapewnić jej wiano albo w inny sposób załagodzić sprawę.

Osiągnęła swój cel. Oj, osiągnęła, a pani została gorycz na długie, długie lata. Teraz jednak nie zamierzała się dać wyprowadzić w pole. Ta młódka jest tu zaledwie od kilku dni, a już taka sprytna. Co to za młodzież. Jest coraz gorsza, tylko wszystko dla siebie. I tylko by ciągli i ciągli... Musiała jednak rozpatrzyć słowa dziewczyny, a przynajmniej coś zrobić z tym wydarzeniem. Podniosła się i podeszła do okna. Wpadało ciepłe, pachnące kwiatami powietrze. Kobieta wystawiła twarz na działanie promieni słonecznych. Na chwilę się rozpogodziła. Zaraz jednak ściągnęła wargi. Usłyszała kroki. Poznała chód swojego syna. Odwróciła się. Chyba chciał niepostrzeżenie przejść



do drzwi. Był sam, bez swojej kompanii. Ta gromada obiboków, piesków pokojowych teraz na zamkowym podwórzu ćwiczyła swoje umiejętności we władaniu mieczem. Jakby kiedy miały się im do czego przydać.

– Powiedz mi synu, a kiedy to zmierzasz zorganizować ucztę dla naszych wasali? – zapytała, próbując złapać jego wzrok. Przystanął.

– Dlaczego pytasz?

– Mam swoje powody Thomasie.

– Jak zawsze na koniec żniw – odparł lekko zaniepokojony, bardzo chcąc ukryć ten niepokój przed matką.

– A nie sądzisz, że można byłoby tę sprawę przyspieszyć?

– Matko, o coś ci chodzi? – zapytał podejrzliwie.

– Uważam, że powinieneś przynajmniej dwa razy do roku urządzać spotkanie twoich poddanych. Miałbyś wtedy nad nimi lepszą kontrolę, a poza tym weselej by może było. Snujesz się z tymi swoimi... – przemilczała określenie towarzyszy Thomasa – a tak to coś by się działo. I mielibyście zajęcie.

– Matko, jeżeli ponownie wracasz do tematu mojego ożenku – mężczyzna wciąż nie był pewien intencji swojej matki – to nie chcę dalej rozmawiać. Z ojcem żeście postanowili tylko raz w roku urządzać zjazd i szanuję ten zwyczaj – stwierdził na poły gniewnie na poły z irytacją. Kobieta westchnęła i ponownie odwróciła się do okna. – O co ci pani chodzi? – zapytał bardziej ugodowo.



– Na dworze jest kilka dziewczek w wieku dobrym do zamążpójścia i trzeba by było je korzystnie wydać. Wiesz, że to dla ciebie korzystne...

– Masz w głowie tylko swatanie, jakby nie było innych, bardziej poważnych spraw – pokręcił głową z dezaprobatą – może byś lepiej pomyślała czy nie należy zrobić większych zapasów oliwy na ten rok. – W zeszłym roku zabrakło i teraz jej to delikatnie wypomniął. Poczwała to – na to jest akurat dobra pora. A dziewczki... Dziewki do jesieni tak bardzo nie zbrzydą – po tych słowach oddalił się i wyszedł z ulgą na dziedziniec. Przez okno widziała jak podszedł do kompanów. Podniósł z ławy miecz i zaczął fechtować.

– Nie zbrzydą, ale może

i im tej urody przybędzie – z przekąsem powiedziała w pustą przestrzeń. Problem został znów tylko na jej głowie. Wzruszyła ramionami. Musiała raz jeszcze z tą dziewczyną porozmawiać. Kłamała czy nie, sprawę należy sprawdzić. A nie daj Boże, że coś takiego by się powtórzyło? A jeżeli to się rozejdzie po ludziach? Wtedy, żaden chłop nie odda im córki na dwór. Do tego nie mogła dopuścić.

Las o świcie pokryty był srebrzystą warstwą rosy i delikatnymi smugami mgły zawieszanej tuż nad leśnym runem. Ciszę przerywały jedynie pojedyncze ptasie głosy, budzące się ze snu. Leśne zwierzęta rozpoczynały swój wieczny poranny



ceremoniał. Marianna stała przy krzewie głogu i zrywała kiście bladnoróżowych kwiatów. Robiła to niezwykle delikatnie, aby nie połamać i nie pognieść kwiatów. Każdą zerwaną gałązkę ostrożnie wkładała do swojej płóciennej, przewieszanej przez ramie torby. Wdychała rześkie powietrze i wsłuchiwała w odgłosy budzącego się lasu. Lubiła tę porę dnia. Spokojną i radosną. Uzbierawszy odpowiednią ilość kwiatów poszła dalej, w kierunku rzeki. Chciała nazbierać jeszcze arcydzięgla, którego zapasy się dramatycznie skończyły. Udało się jej jeszcze dostrzec jelenia pijącego wodę z rzeki, gdy nagle dosłyszała obce, zupełnie nie leśne dźwięki rozchodzące się po okolicy.

Widocznie nie tylko ona lubiła las o tej porze dnia. Z odgłosów poznała, że to gromada jeźdźców nadciąga w stronę wodopoju. Zatrzymali się po przeciwnej stronie rzeki. Schowała się za kępę krzaków. Przypadła do ziemi, aby nie zostać zauważoną i oczekiwała dalszego rozwoju wypadków. Jeźdźcy zsiadli z koni i ze śmiechem zaczęli zrzucać z siebie odzież. Potrącali się i pokrzykiwali na siebie. Byli młodzi i postawni. Pan wraz ze swoją kompanią. Marianna spuściła wzrok i powoli, na kolanach i dłoniach zaczęła się wycofywać. Kiedy odeszła na dużą odległość, podniosła się i otrzepawszy suknię pospiesznie wróciła do domu. Odina krzątała się po obejściu.



Wystawiła miskę z wodą dla psa. Wywiesiła na płot nakrycia z zajęczych skórek i przeglądała je, czy aby nie gniją lub się nie rwą. Wsunęła palce w miękką sierść i zamyśliła się. Popatrzyła tęsknie w kierunku wsi. Następnie rozejrzała się po zagrodzie i pokręciła głową. Marianna ukryta za pniem drzewa przyglądała się córce. Serce zakołatało w niej radośnie. Odina wzięła się za domowe prace. Nie tkwi pod drzewem kolejny dzień, nie rozmyśla i nie płacze. W końcu nie płacze. Twarz kobiety rozpromieniła się jeszcze bardziej, gdy Odina wyniosła na dwór małe krosna. Był to prezent, który dostała, będąc jeszcze malutką dziewczynką. Wtedy jeszcze żyła Helga.

Marianna zagryzła wargi na

wspomnienie swojej nauczycielki-poprzedniczki. Kobiety, która ją przygarnęła pod swój dach z małym dzieckiem. Kobiety, która opiekowała się nią jak własną córką. Nauczyła wszystkiego co umiała. Skądś wiedziała, że Marianna ma potrzebne do zielarskiego fachu zdolności. A może nie wiedziała? Może? Ale dbała o nią. A potem Marianna opiekowała się Helgą. A potem Helga umarła i została pochowana na wspólnym cmentarzu. Głową w przeciwnym do wszystkich kierunku. Przecież była inna. Marianna przypomniła sobie jej słowa, które ta powtarzała czekając na śmierć. „Dobro wraca dobrem, zło, złem”. To była mądra kobieta. To były jedne z najlepszych dni życia Marianny. Do





tej pory żałowała, że nie wypytała jej lepiej o przeszłość. Ale wtedy zbyt się wstydziła. Spojrzała w kierunku tkającej córki. „Moja mała dziewczynka” pomyślała z rozrzewnieniem i wyszła ze swojego ukrycia. Pies ruszył do niej w podskokach, witając radośnie. Słońce coraz bardziej rozjaśniało polanę. Podeszła do dziewczyny i pogładziła ją po włosach. Ta popatrzyła na nią z zamyśleniem, z jakimś niemym pytaniem. Marianna poruszyła zachęcająco głowę.

– Mamo... – zaczęła nieśmiało Odina – mamo, czy ktoś mnie jeszcze taką zechce?

– Córuchna moja – powiedziała w swoim języku, szeleszczącym i miękkim. Ujęła twarz córki w dłoń – pewnie, że zechce.

Oczu by nie miał, aby ciebie nie chcieć – westchnęła. – Jesteś jak słoneczko, jak kwitnący jaśmin – szeleściła dalej – jak dzika różyczka – powiedziała z przekonaniem, tuląc córkę do piersi. – Moja, kochana, mała dziewczynka – łzy popłynęły jej po policzkach. Dziewczyna odwzajemniła uścisk. Wtuliła się w jej ramiona – jesteś dobra i pracowita. Naprawdę ślepy by tego nie zauważył.

– A czy... a czy to widać? – zapytała tamta niepewnie.

– Oczywiście, że widać, przecież...

– zdziwiła się Marianna. Zobaczyła, że twarz dziewczyny posmutniała – czy co widać? – zapytała tknięta przecuciem.

– To, że... wiesz co – Odina właściwie nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.



– A to? – upewniła się matka, pojmując rozterki córki. Ta potwierdziła głową. – Nie, tego nie widać. Na zewnątrz – pokręciła głową dla poparcia swoich słów – nic nie widać. Jesteś taka sama jak... jak przedtem.

– Naprawdę? – twarz Odiny rozpogodziła się.

– Tak – bardzo chciała, żeby jej głos był zupełnie pewny. Córka jednak nie usłyszała w nim żadnego fałszywego tonu.

– O, mam – westchnęła dziewczyna. – Ale mam, jak ja mam kogoś tu znaleźć, w tej głuszy?

– Nie jesteśmy w głuszy – zaprotestowała kobieta – tylko trochę dalej od wsi. Troszeczkę – pokręciła głową – zawsze będziesz mogła iść tam w niedzielę na

święto. Nie stanę ci na drodze, a jak chcesz pójść z tobą.

– Chcę mam, chcę – Odina uśmiechnęła się radośnie i raz jeszcze uściskała matkę. Potem z uśmiechem podniosła krosna – zrobię ci piękny woreczek na zioła, żadna, nawet najwspanialsza pani się go nie powstydzi – zapewniła matkę.

Marianna poczuła jak wraca do niej siła i radość. Będzie znowu jak dawniej. Odina wróci do siebie. Może się znajdzie jakiś chłopak, któremu zawróci w głowie. Może się zakocha. W radosnym zamyśleniu wyjmowała zioła z torby i układała je na desce do suszenia. Wtedy dobiegł je odgłos ciężko biegnącego człowieka.

K.B.C.





POCZĄTEK

Józef Szczykowski

Początek, że na pierwszym zawsze miejscu bywa,
Z dumą się raz i wzgardę do końca odzyna:

„Pierwszym jest, pierwszość moja aż na wieki będzie
I nigdy podły koniec w początku nie siedzi.

Rozśmieszony się w przed koniec, rzekł mi na to potem:
„Początek mało znaczy, gdy koniec niepotem.

Kochani ludożercy...

Karolina Dyja

Kiedy miałam pięć albo sześć lat po raz pierwszy widziałam „Człowieka w żelaznej masce”. Pamiętam, że film mnie bardzo zafascynował.

Teraz, po kilkunastu latach, nie przypomniabym sobie szczegółów fabuły bez pomocy niezawodnego „wujka Google”. Właściwie pamiętam tylko jedną rzecz: tytułowego bohatera, uwięzionego we wspomnianej masce. Wyrzeźbiona w metalu twarz była surowa. Z oczywistych względów nie miała jakiegokolwiek wyrazu. Bijąca z niej obojętność wywoływała dziwne wrażenie nawet na kilkunastoletnim dziecku – maska śniła mi się później po nocach. Wspomnienie „Człowieka w żelaznej masce” odżyło po kilkunastu latach przy okazji wywiadu z Anną Politkowską, aktywistką i obrończynią praw człowieka. Czytając o obojętności społecznej, pomyślałam o żelaznej masce. Czy nie jest tak, że my też ją mamy?

Czasem zdarza nam się schować ją do szafy (choćaby w czasie zbiórki na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy), ale generalnie rzadko się z nią rozstajemy. Anna Politkowska nieraz zetknęła się ze „zjawiskiem żelaznej maski”: większość ludzi nie słuchała, co miała do

powiedzenia na temat cierpienia innych. Działał tu bardzo brzydki schemat: nie obchodzi mnie, że ludzie są torturowani i giną, bo mnie to nie dotyczy. Mówiła o tym bardzo wprost:

Często w sklepie zaczepiają mnie nieznajomi: „Za co tak lubisz Czeczenów?”. Odpowiadam: „Tak samo lubię Ciebie i Etiopczyka, i Polaka”. Złoszczą się, bo przecież Czeczeni to dla Rosjan „grupa, którą trzeba zlikwidować. Tak jakbyśmy hurmem wstąpili do jakiegoś nowego Ku-Klux-Klanu i zgodzili się, że na Kaukazie mieszka inny rodzaj ludzi.

Podobne przykłady można znaleźć w życiu codziennym. Nie pomożemy sąsiadce, bo to strata naszego cennego czasu. Nie zainteresujemy się czymś problemem, bo to nas nie obchodzi. Nie prześlemy jakiejś sumy na cel charytatywny, bo szkoda pieniędzy. Zresztą w życiu trzeba sobie przecież radzić. Nie dałeś rady – odpadasz. Zupełnie jak w „Liście do ludożerców” Różewicza: ja, mnie, mój, moje...

Właściwie nie powinienam się temu dziwić. Gazety i poradniki psychologiczne pełne są „mądrych” tekstów o tym, że warto być egoistą (oczywiście autorzy akcentują, że „w pewnym sensie”). Jasne, że nie



możemy bezwarunkowo poświęcić się dla innych – w końcu nam też należy się coś od życia – ale czy naprawdę musimy z siebie robić emocjonalnych ślepców?

Przecież trzeba niewiele. Dać coś z siebie na co dzień, a nie tylko raz do roku. Dostrzec drugiego człowieka. Chociaż raz spojrzeć dalej niż na siebie. Żywa twarz (nawet duchowa), pełna uczuć i swoistej mimiki jest dużo lepsza od żelaznej maski! Dlatego ten artykuł zakończę apelem –

cytatem ze wspomnianego już „Listu do ludożerców”:

zrozumcie

*ludzi jest dużo będzie jeszcze
więcej więc posuńcie się trochę
ustąpcie*

(...)

Kochani ludożercy

*Nie zjadajmy się Dobrze
bo nie zmartwychwstaniemy
Naprawdę*

K.D.



DŁUGIE UCHO

Ivo Einverstanden

Nowoczesna zachodnia chirurgia plastyczna rozpoczęła się dopiero w XVIII wieku, gdy angielscy doktorzy zatrudnieni przez Kompanię Wschodnioindyjską poznali od indyjskich chirurgów sekrety rinoplastyki.

To właśnie chirurgia plastyczna jest jednym z osiągnięć starożytnej medycyny hinduskiej. Hinduski traktat medyczny Suśruta-Samhita zawiera szczegółowe opisy stosowanych metod.

Jego metody wyprzedziły nowoczesną chirurgię plastyczną o dobre dwa tysiące lat. Zapewne powodem pojawienia się chirurgii plastycznej był zwyczaj hinduski polegający na wyciąganiu uszu. Uważano, że to odstrasza złe duchy i dodaje urody. A na czym polegał ten upiększający zabieg? Przekuwało się ucho a czopkiem z bawełny zatykało się dziurę. Jeśli nie wdało się zakażenie, dziecko wracało na kolejny

zabieg co trzy dni. Za każdym razem lekarz powiększał otwór i wkładał odpowiednio duży czopek, następnie lekarz dodawał drewniane lub ołowiane kółka tak aby stopniowo wyciągać małżowinę. Im dłuższe ucho tym jesteś piękniejszy. Oczywiście oprócz wydłużania uszu chirurdzy musieli je naprawiać. Dzięki temu nabierali praktyki i poszerzali zakres swoich usług. Suśruta opisuje, w jaki sposób można odtworzyć małżowinę, dokonując przeszczepu z policzka. W tej starożytnej operacji wykorzystuje się klasyczną metodę współczesnej chirurgii tak zwaną technikę „płata uszczypułowanego,,. Chirurg wycina kawałek ciała w kształcie litery U i przerzuca je w nowe miejsce. Krew krzepnie i utrzymuje dwa kawałki razem. Kiedy kawałki zrastają się i rozpoczyna się przepływ krwi nowy kawałek można



Okolo 1400 roku sycylijscy chirurdzy robili nowe nosy, a hindusi wciąż udoskonalali swoje techniki. Obecnie kliniki chirurgii plastycznej rosną jak grzyby po deszczu, zapotrzebowanie wzrasta i nie tylko na długie uszy. Zmieniamy wszystko, miejmy jednak nadzieję, że nasze odbicia pozostaną w zgodzie z naszym duchem.

LUSTERCZKO

W 1945 roku uczeni amerykańscy na pustyni Nowego Meksyku wywołali eksplozję bomby atomowej. Po wybuchu na wielkim obszarze piaszczystej pustyni pojawiła się szklana powłoka.

Nikogo to nie zdziwiło, szkło jest bowiem stopionym piaskiem z różnymi domieszkami w wysokiej temperaturze. Najstarsze przedmioty szklane pochodzą sprzed sześciu tysięcy lat.

Ale człowiek jeszcze wcześniej miał potrzebę oglądania własnej twarzy. Pierwszym lustrem była tafla wody. Starożytni Grecy, Rzymianie oraz Europejczycy epoki średniowiecza używali wypolerowane kawałki metalu, od których powierzchnie odbijało się światło. Prawdziwy przełom w próżności ludzkiej dokonał się w XVI wieku gdy Wenecjanie wpadli na pomysł pokrywania tafli szkła cienką warstwą odbijającego światło metalu, wówczas to był stop cyny i rtęci. Proces pokrywania powierzchni szkła srebrem, z którego rozwinęła się nowoczesna technologia produkcji luster, został wynaleziony przez Justusa von Liebiga w 1835 roku. **I.E.**

odciąć od starego miejsca. Posługując się podobną metodą starożytni chirurdzy indyjscy naprawiali nos lub wręcz tworzyli go od nowa. Aby zrobić nowy nos, wycinali z czoła pacjenta kawałek skóry w kształcie liścia pozostawiając kawałek przy nasadzie nosa. Następnie wycięty kawałek układali na dwóch rurkach, które służyły za nozdrza i podobnie jak przy operacji ucha z czasem skóra przrastała do twarzy.

Rzymianie również eksperymentowali z chirurgią plastyczną. Niejaki Marcjalis, poeta rzymski z I w., wspomina o człowieku, który wyspecjalizował się w usuwaniu piętna wyzwolonym niewolnikom. Celsus popełnił encyklopedię medyczną w której opisuje dwa plastyczne zabiegi: naciągnięcie skóry na źle gojącą się ranę i usunięcie z uszu dziur powstałych na skutek noszenia ciężkich zawieszek. Wszystko to nie dorównywało poziomem zabiegom Suśruty.

Część wiedzy o indyjskiej chirurgii zdobyli Arabowie i to za ich pośrednictwem dotarła ona do świata śródziemnomorskiego.

BAJKI NOWE



A blue ribbon is laid out on a light-colored tiled floor. The ribbon starts from the left edge, curves upwards and to the right, and then continues horizontally towards the right edge. The tiles are light beige with dark grey grout lines.

CZŁOWIEK

Kasia Bogucka

Twarze ile w nich wiadomości i prawdy
Dłonie w każdej minucie wyrażają obawy
Stopy ukryte i niedostępne tak rzadko mające widownie
Zobaczyć można wszystko u Ani, Basi, Wojtka,
Zobaczyć można wszystko u bliskich i tych obcych
A jak zobaczyć własną twarz jak odkryć prawdę własnej twarzy.

